

# Kronika tygodniowa.

A więc gabinet został nareszcie utworzony. Przybyło nam dwu ex-ministrów i coś około tuzina ex kandydatów na ministrów. Z tego tuzina smuci się prawdziwie co najwyżej dwóch, reszta zaś jest najzupełniej z losu swego zadowolona. Nie przez skromność, bynajmniej, tylko dlatego, że kiedy tamci dwaj byli rzeczywiście kandydatami, to posadzenie tej reszty na fotelach ministeryalnych nikomu na myśl nie przychodziło. Jedynymi zwolennikami kandydatury tych panów byli oni sami, — oni też sami rozpuszczali wiadomości o tem, że p. Bienert bierze ich w rachubę. Nie stracili więc nic, a nawet zarobili, bo wśród setek tysięcy ludzi, oddających się nieproduktywnemu zajęciu czytania dzienników, większość wierzyła naiwnie, iż tacy z własnej woli kandydaci są kandydatami na seryo. Nie na tem koniec ich moralnych zysków. Urosła przedewszystkiem ich powaga wśród kolegów, przyjaciół i znajomych, bo inaczej się patrzy na zwykłego posła, a inaczej na takiego, który mógł zostać ministrem. Mógł, a więc jeszcze i może; tym razem odmówił swego współudziału w rządzie, bo nie przyjęto jego „warunków“ — ale za rok, za dwa zgodzi się wziąć ten ciężar na barki, bo warunki jego zostaną przyjęte. A cóż dopiero mówić o wzroście powagi takiego ex-kandydata we własnym gnieździe rodzinnym! Trudno przypuścić, aby pani ex-kandydatowa nie czuła się dumną ze swego małżonka, aby nie powróciła do dawnej, nieraz mocno nadwątłej wiary w jego zdolności; co najmniej wyraz „nie-dolęga“ ulotni się na pewien czas ze słownika domowego. Również w oczach ex kandydatów i ex-kandydatowiczów nabierze pewnego uroku postać „kochanego papy“.

Dziennikarze mają teraz sposobność do pisania głębokich artykułów na temat: co z tego wynika? Większość zapatruje się bardzo pesymistycznie. Cóż z tego, wołają, żeśmy dostali (oni dostali) tekę kolei, kiedy straciliśmy tekę skarbu? Cóż z tego, że mamy beztekę Galicji, kiedy ta beztekę dostała się urzędnikowi, a więc nie parlamentaryście. Biedania bardzo zabawne, jeżeli się zważy, że miłujący swój kraj i swoją kieszkę Galicyanie, powinni codziennie przy pacierzu powtarzać suplikację: „od powietrza, głodu, ognia i od rodaka ministrem skarbu, zachowaj nas Panie!“ Ilu bowiem ich było, tylu Galicya miała największych wrogów swego aż nadto skromnego dobrobytu. A ostatni z nich, pan Biliński, nie tylko jej nic dać nie chciał (prócz pożyczki p. Stapińskiemu), ale usiłował brutalnie ją zrabować. Więc czyż lepiej byłoby mieć dalej takiego ministra skarbu i Niemca ministrem kolejowym, aniżeli mieć ministrem skarbu Niemca, który na tem stanowisku gorszym dla nas, niż rodak, choćby chciał być, nie może, a ministrem kolejowym Polaka, który bądź co bądź usunie choćby w drobnej części ten szereg szykan i niesprawiedliwości, na jakie była zawsze narażona Galicya ze strony ministerstwa kolejowego? To jedno pytanie, a drugie: czy lepiej, aby ministrem dla Galicji było zero w rodzaju p. Dulęby, niż aby tym ministrem był zdolny urzędnik Polak? Parlamentarny minister bez teki jest to, nie zawsze, ale zazwyczaj dyktant, który pragnie jak najsilniej utrzymać się na swym stanowisku, bo tracąc je, zostaje niczem, a urzędnik zna wybornie tok spraw mu powierzonych i choć przestaje być ministrem, powraca na swą posadę, na której jest większym panem, niż wówczas, kiedy chadza w pirogu. Proszę nie sądzić, abym chciał się przychlebić p. Zaleskiemu, bo go ani znam, ani znać będę, bo go nie potrzebuję, ani potrzebować nie będę, ale choć o nim wiem bardzo mało, ponadto, że ma być zdolnym urzędnikiem, jestem jednak przekonany, że w najgorszym razie, gdyby najzupełniej zawiodł pokładane w nim nadzieje, gdyby się okazał i niezdatnym i nieodpowiednim, nie będzie przecież gorszym ministrem dla Galicji od dra Dulęby, bo gorszym być niepodobna.

A więc cóż straciliśmy na wymianie głów? Ba, jest strata, ale pośrednia. Tylko ludzie źle woli mogą twierdzić, że dr. Głabiński nie spełniał dobrze obowiązków prezesa Koła. Już to samo podziwiać należy, że mógł wytrwać na tem stanowisku. Dawni prezesi Koła mieli za sobą zwartą większość konserwatywną, więc łatwo im było przewodzić Kołu. Ale p. Głabiński dostał zbieraninę, dzielącą się na kółka i kółeczka swarliwe, skaczące sobie do oczu, nienawidzące się wzajemnie, wiecznie głodne, nienasycone. Dać sobie z nimi radę, łagodzić ich dzikie

obyczaje, utrzymać na wodzy żadnych karyery prowodyrów, zwalczać intrygi i intryżki — to było już nie lada zadanie. A cóż dopiero pozyskać tę niesforą zbieraninę dla myśli przewodniej, doprowadzić ją do jednomyślnych uchwał, przywracających Kołu jego znaczenie i dawno już utracony wpływ na wewnętrzną politykę. Pierwszy raz po wielu latach musiano rozstać się u góry z zapatrywaniem, że każdy rząd Koła polskie ma do swojej dyspozycji. Otóż jest uzasadniona obawa, czy następca Głabińskiego na prezesurze Koła, zdoła być nie tylko jego następcą, ale i zastępcą, — czy będzie posiadał tę co on pracowitość, tę co on dozę energii, tyle co on zapału, taką jak on wyrozumiałość i taki dar łagodzenia rozbujających temperamentów. Zanim ta kronika się ukaże, będziemy już może wiedzieli, kto zostanie naszym kołodziejem wiedeńskim — niestety kandydatury, o których słyszymy, nie mogą rozproszyć obaw, a są nawet między nimi i humorystyczne.

O zwycięstwo w Wiedniu jest nam tem trudniej, iż mamy tam bardzo nikłe siły pomocnicze. Tegoroczny spis ludności wykazał, iż w stolicy nadnauńskiej mieszka zaledwie 4346 Polaków, pomimo iż ilość Wiedeńczyków, urodzonych w Galicji, wynosi 34.133. Myślisz zapewne Czytelniku, że ową ogromną resztę poza 4346 stanowią Rusini? Broń Boże — Rusinów obu narodowości: ukraińskiej i grafa Bobrińskiego, posiada Wiedeń zaledwie 748. A i owi Polacy nie wszyscy pochodzą z Galicji, bo tylko 3655 miało szczęście przyjść na świat w naszej ściślejszej c. k. ojczyźnie, a 691 obrało sobie inne miejsce urodzenia. Pokazuje się, że największą ilość Galicyan wiedeńskich stanowią Niemcy, bo jest ich urodzonych w Galicji aż 28.473. Ba! inna jeszcze cyfra niemniej zastanowić może: oto osób przynależnych do gmin galicyjskich mieszka w Wiedniu 42.724 — a na to wszystko Polaków z Rusinami przypada zaledwie 5094! Jak widzimy, Galicya jest istną pepinią Niemców. Jeżeli bowiem w samym Wiedniu ilość Niemców, wyległych w Galicji, dochodzi do 40 000, iluż ich znajduje się w całym kraju! A przecież tylko odsetki Galicyę opuszczają, sam kapitał w niej pozostaje. Musimy więc Niemców mieć u siebie koło miliona. A statystyka galicyjska znów mówi, że tego produktu u nas niewiele, bo co najwyżej jakie 80.000 (patrz broszurę Smółskiego: „Kolonie i stosunki niemieckie w Galicji“). Jak więc pogodzić tak sprzeczne daty, choć obie są prawdziwe? Trudność napozór olbrzymia, choć rzecz „jak obrecz“ prosta. Należy przy tych 40 000 Niemców wiedeńskich, urodzonych w Galicji, dopisać: wyznania mojżeszowego — a ciemna, jak noc, statystyka, stanie się jasną, jak słońce.

I nic innego, jak tylko statystyka da odpowiedź na pytanie: co jest przyczyną nędzy żydów w Galicji? Zwołana do Lwowa ankietka w sprawie tej nędzy, może radzić nad wynalezieniem środków do jej zmniejszenia, ale nic nie wynajdzie, jeżeli nie zechce posłuchać mądrych słów, utajonych w cyfrach statystycznych. Dowie się z nich, że we Francji, Niemczech, we Włoszech i Hiszpanii na 150 milionów ludności jest żydów pół miliona, a u nas, na ziemiach czysto-polskich, trzy miliony na 18 milionów ludności. Ponieważ zaś ludność żydowska ma wyłączny prawie sposób zarabkowania, przeto tam, gdzie jest jej mało, żyje dobrze i bogaci się — tam, gdzie jej dużo, musi pozostawać w nędzy.

Największa nędza żydowska panuje we wschodniej Galicji, gdzie żydów jest dwa razy więcej, niż u nas na Zachodzie. Byłem niedawno w małym miasteczku wschodnio-galicyskim, liczącem około 2500 mieszkańców, z tego 2000 żydów. Na całym rynku i przyległych ulicach sklep koło sklepu, a w większej ich części jedno i to samo jest do nabycia. U Ryfki dostaniesz igieł, nici, sznurków, mydła, świec, lamp, zabawek, brzytw, kozików, cukierków, tasemek, szczotek, porcelany, garnków, płótna i t. d. Obok niej Icek posiada na składzie płótno, garnki, porcelanę, szczotki, tasienki, cukierki, brzytwy, koziki, zabawki, lampy, świece, mydła, sznurki, nici, igły i t. d. To samo ma jego sąsiad Szmul, tem samem handluje Lejba, Moszek, Berek, Rojza, Liba, Mendel, Sruł, Pinkus, Fajga, Debora, Aron, Chaim, Jankiel, Szmul, Surcie, Malcia, Resia. Takie dwa sklepy na całe miasteczko przynosiłyby znaczne zyski, cztery dałyby niezłe ich właścicielom utrzymanie, ale dwadzieścia prowadzi do nędzy. Ale cóż poradzić, kiedy ani Lejba, ani Debora, ani żadne z reszty, nic nie umieją, tylko „handlować“. Sami sobie sprawiają konkurencję, sami się dlań wzajemnie. Dla zapobieżenia wzrastającej u żydów nędzy są tylko dwa środki: albo porzucić ciasny zakres zarobku, co jednak jest niezmiernie trudne do przeprowadzenia, albo rozejść się po świecie. Świat jest taki szeroki, żydzi nie mają żadnych

przesądów przywiązania do kraju rodzinnego, wszędzie jest dla nich ojczyzna — poco więc są własnymi wrogami, skupiając się na ziemi biednej, która nie jest w możności ich wyżywić, która setki tysięcy własnych synów wysyła po chleb na drugą półkulę.

A tam jest raj prawdziwy. Tam się liczy nie na korony, lecz na dolary. Tam nasz „magnat“, mający parę milionów koron, uchodziłby zaledwie za średnio zamożnego człowieka — tam bogatym jest dopiero ten, co ma setkę milionów koron, a magnatem ten, co ma kilka setek milionów nie koron, ale dolarów. Stamtąd sobie sprowadzamy mięso, bo go tam w bród, a u nas należy do rzadkich i drogocennych klejnotów. Tam, jak obliczają statystycy, w samych Stanach Zjednoczonych w ustach (przepraszam: usteczkach) płci pięknej, rozplywa się rocznie cukierków za 120 milionów dolarów. Tam każdemu wolno robić, co mu się podoba, — nikt żadnemu Wilusiowi nie miałby za złe, gdyby napisał operetkę „Liebestraum“.

A u nas w starej Europie bieda i zazdrość. Wilusia szpikują za operetkę, pocziwego Eulenburga za figle starości, znów pociągają przed kratki sądowe; hr. Wodziekiemu za to, że zarobił parę milionów tak dokuczają, że aż go p. Ehrenpreis w radzie miejskiej bronić musi, nawet damom nie dają spokoju i przesładują je wszędzie za noszenie wielkich szpilek do przypinania i jeszcze większych kapeluszy.

A wyobrażam sobie, jaka zazdrość i rozgoryczenie zapanowały w nauczycielstwie ludowem na wieść o łupach, jakie wynieśli złodzieje z mieszkania wiceprezydenta Rady szkolnej p. Dembowskiego. To mało, że zabrali gotówkę, order i kilka garniturów złotych spinek, ale trofeami ich było 18 par spodni! Biedny nauczyciel, głodomór, sankiulota, marzy zuchwale o posiadaniu dwu par, a w tem tylko jednej niewytartej i niedziurawej, a tu jego przełożony posiada aż najmniej par 19, bo przecie mu tej, co miał na sobie, nie ukradli. A niedyskretny dziennikowy wykrył jeszcze, że te wszystkie „bluźniaki“ wyszły na świat nie z pracowni krajowej, lecz ze znanej firmy wiedeńskiej Hummelheina. Mała rzecz a wstyd: naczelnik oświaty stara się o upiększenie swych nóg a nie głowy, posel krajowy, w chwili, gdy wszyscy wołają: popierajmy przemysł ojczysty! — z Wiednia sprowadza swą garderobę.

P. s. W chwili, kiedy skończyłem pisanie kroniki, ukazała się w dziennikach mowa min. Zaleskiego, wygłoszona na posiedzeniu Koła polskiego. Nowy minister mówił rozumnie, uczciwie, patriotycznie. Nie mogę więc wstrzymać się od wyrażenia radości, że tak dzielnie spisał się mój „protegowany“.

## Odpowiedzi Redakcyi.

WP. J. Piątkowski, Ujezda: Trzeba być prenumeratorem Nowości ilustrowanych w tym kwartale, w którym odbywa się ciagnienie.

WP. J. Goldstein, Jasło: Każdy nowy prenumeratorem, o ile odpowiedział postawionym warunkom, ma prawo obiegania się o nagrodę.

WP. Maryja Katz, Lisko: Wyjątkowo zgadzamy się. WP. S. Masłowski, Lwów: Prawo wzięcia udziału w losowaniu ma każdy Prenumeratorem, który zapłacił przedpłatę przynajmniej za bi-żący kwartał.

Jeden z prenumeratorem, Kraków: Muszą to być rzeczowniki tylko w pierwszym przypadku liczby pojedynczej, mogą być także i inne części mowy, lecz w formie najprostszej.

WP. J. Jabłoński, Pułniki: Otrzymałszy, zapisane pod l. 665

WP. Albina Suwald Zubrzycka, Przemysł: Otrzymałszy. WP. W. Maciotowski, Kraków: Marki na odpowiedź do listu nie dołączono. Każdy może wziąć udział.

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędna

## KAWIARNIA J. BISANZA

w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter

## RESTAURACJA W HOTELU SASKIM W KRAKOWIE

z 5-ma stylowymi gabinetami.

Codziennie **KONCERT** muzyki salonowej.